

Antonina Jakubiczkowa

Łańcut - Rynek 2

Życiorys

Urodziłam się 3.XI.1901 r. w Jičínie w Czechach., gdzie otrzymałam wykształcenie średnie. W r. 1919 - 15.II. Wyszłam za mąż i wyjechałam do Lwowa, gdzie uczęszczałam do roku 1922 na naukę rysunku, malarstwa i rzeźby u profesorów: Rozwadowskiego, Sichulskiego i Nalborczyka w Państwowej Szkole Przemysłowej - oddział artystyczny.

W roku 1922 wyjechałam z Mężem na Pomorze, gdzie brałam udział w wystawach zbiorowych.

W 1925 r. byłam na praktyce w malarni fabryki porcelany w Chodzieży.

Od roku 1927 pracowałam zarobkowo jako rysownik projektant w firmie hafciarstwa artystycznego we Lwowie.

Równolegle przygotowywałam materiał do retrospektywnej wystawy we Lwowie - obrazy akwarele i olejne, makaty, porcelanę i ceramikę.

Wypadki wojenne pozbawiły mnie wszystkiego. Ze Wschodu wróciłam do Polski w r. 1959 i tu dopiero zaczęłam znów pracować twórczo.

Od roku 1960 brałam udział w wystawach malarskich amatorów. Od r. 1961 brałam udział we wszystkich plenerach organizowanych przez WDK w Rzeszowie i w plenerach organizowanych przez Powiatową Poradnię Kulturalno-Oświatową w Łańcucie.

Od 1967 roku pracuję jako przewodnik w Muzeum - Zamku w Łańcucie.

Dochód z tej pracy umożliwia pokrycie kosztów związanych z malarstwem, tak że nieczęsto maluję obecnie drugi raz na to samo płótno.

Wiele przyczyn składa się na pokochanie Łańcuta jako cichej życiowej przystani. Tu powtórzę słowa Franciszka Karpińskiego: „Kiedy byłem młody, cały świat był moim domem, teraz, kiedy się postarzałem, mój dom jest dla mnie całym światem”.

Łańcut, 16 grudnia 1971 r.

Mąż mój, który był z wykształcenia inżynierem, pracował w Izbie Skarbowej we Lwowie. Często wyjeżdżał na delegacje do wiosek, gdzie przeprowadzał rewizję stanu posiadania. Zabierałam najkonieczniejsze sprzęty do prowadzenia skromnego gospodarstwa i farby, płótna,

sztalugę, i towarzyszyłam Mężowi.

Lubiłam wiejskich ludzi. Porównywałam wsie czeskie, dostatnie, murowane z chodnikami, ludzi o usposobieniu zamkniętym, często chłodnym. Polskie wioski - często chaty pod strzechą, ludzie biedniejsi i serdeczniejsi. Łatwo nawiązywałam kontakty. Gdzie były możliwości urządałam kursy szycia i kroju, często radziłam w sprawach higieny i zdrowia (przeszkolenie przeszłam na kursach), pomagałam tam, gdzie o pomoc było trudno.

Miałam przy sobie maść woskowo-żywiczną do skutecznego i szybkiego gojenia ran. Ciekawe, że przepis na sporządzenie tej maści był dziedziczny. Robiła ją moja Matka w Czechach, ratując nie tylko domowników, ale wszystkich takiej pomocy potrzebujących. Robiła taką maść Matka mojego Męża, która pochodziła z Zbszczyk (obecnie ZSRR). Takie same składniki i skutki.

Wzruszała mnie pokora tych najbiedniejszych, zawsze przez zamożniejszych wykorzystywanych.

Dzieci samotnych matek szczególną sympatią darzyłam, co komentowane było nieżyczliwie. Staralam się być przydatną swoją czasową obecnością.

Przygotowywałam wystawę retrospektywną, na której miały być oprócz obrazów, makaty, porcelana, ceramika. Szeroko i z rozmachem zaprojektowana, co wymagało szeregu znajomości nie tylko teoretycznych, ale i praktycznych.

W okresie międzywojennym odbyłam praktykę w fabryce porcelany w Chodzieży, w malarni, ale poznałam i wyrób porcelany od podstaw.

Na wsi uczyłam się prąść len i wełnę.

W Zalesiu w powiecie łańcuckim, w czasie wakacji szkolnych, zajęłam w szkole pokój nauczycielki, która wyjechała na całych 14 dni. Siedziałam u garncarza i lepiłam dekoracyjną ceramikę.

Całą noc w deszczu wytrzymałam w polu przy piecu, wypalając swoje wyroby z wyrobami garncarza, u którego pracowałam.

Byłam młoda i wystarczyło na wszystko sił i wierzyłam we własne siły.

Ze strony Męża miałam zawsze zachętę do pracy, pomimo że często wymagały moje projekta ofiary i wyrzeczenia.

Rodzina garncarza była nieliczna: babka, garncarz z żoną i nieletni syn (o ile sobie przypominam, starszy syn odbywał służbę wojskową). 2 krążki do toczenia garnków i misek stały koło ławki w kuchni.

Na wychodzenie w celu przygotowania sobie posiłku nie chciałam tracić czasu, kupowałam u gospodarzy mleko i „obiady”. Składały się zawsze z zupy i miski ziemniaków, które ogromnie mnie smakowały. Przed wyjazdem prosiłam babcię o zdradzenie mnie tajemnicy, jak ziemniaki gotuje. „Starodawnym sposobem!” Wysoki żelazny garnek wypełniony obranymi ziemniakami prawie do wierzchu, wody tylko do połowy garnka, od góry nakryty wilgotnym płótnem z worka (czystym i wypłukany, służącym tylko do tego celu) i szczelnie zapchanym na wierzch. Garnek wpuszczony częściowo w otwór płyty nad paleniskiem. Pytałam, dlaczego nie używa glinianych pokrywek, które syn wyrabia. Wytłumaczyła, że nigdy nie są ziemniaki tak smaczne, bo wtedy trzeba użyć więcej wody i trudno osiągnąć taką pulchność, jaką mają ugotowane „po dawnemu”.

W Brzózce Stadnickiej byłam z Mężem około roku 1936 czy 1937. Szukałam tkacza, bo sporządzałam sobie samodział na płaszcz. Dobrym zbiegiem okoliczności, mieszkał w sąsiedniej chacie. Tu poznałam Józia. Małe dziecko, które jeszcze nie umiało mówić ani biegać. Leżał w kołysce na słomie, przykryty grubym płótnem, koszulkę miał do pasa, w rączce grubą skórę z chleba. Opiekunką była rodzona babka (matka służyła w mieście) i brat matki, który w ziemie był tkaczem, w lecie chodził do pracy do bogatszych gospodarzy. Naprawiał zegarki i okulary jako samouk. Ale takich rzeczy było niewiele wówczas na wsi, więc pomoc na roli była jego głównym zajęciem.

Józio był cały dzień sam. Po przebudzeniu siadał w kołysce i umiejętnie wprawiał ją w ruch. Tak kołysząc się objadał skórę, raczej więcej ślinił.

Przychodziłam go odwiedzać. Klucz od chaty zasunięty za wiadomą belkę umożliwiał przychodzenie o dowolnej porze. Kiedy wchodziłam do izby, wyciągał rączki, by wziąć go na kolana. Po nakarmieniu go opowiadałam mu bajki. Nie te o królewnach, ale siedząc koło okna patrzył na trawę, kury, gęsi, ptaki, na kwitnące drzewa. Pod pozorem,

że łatwo się ziębi, nie wolno było nam wychodzić przed chatę. Raz przez małe okno wpadło słońce. Józio zsunął się z kolan i w tej słonecznej smudze taczał się uradowany „słoneczko, słoneczko”.

Babka przychodziła na chwilę w południe i znowu do wieczora dziecko było samo.

Raz w zwykłej porze moich odwiedzin była w domu babka, Józio w gorączce na nic nie reagował. Chciałam jechać po lekarza, ale babka tłumaczyła, że to przejdzie, było już tak nie raz. Przysięgła, że jeżeli nie będzie lepiej do jutra, na sprowadzenie lekarza się zgodzi.

Na drugi dzień Józio był zdrowy, tylko osłabiony bardzo.

Zaciekawił mnie sposób leczenia. Otóż jest we wsi małe źródło, w którym jest bardzo zimna woda. Używają ją gospodarze bliscy, którzy studni nie mają, ale głównie służy całej wiosce do leczenia.

Przyniosła babka konewką tej wody, Józia postawiła do cebra, wylała na niego wodę lodowatą, zawinęła bez osuszania razem z głową, położyła koło siebie do łóżka i przez całą noc grzała sobą.

Po przyjeździe do Łańcuta dowiadywałam się o jego los. Dziś żyje w Nowej Hucie, ma żonę i troje dzieci. W Brzósze Stadnickiej żyje w chacie jego matka i schorowany wuj. Umarła babka.

I wujowi należy się wspomnienie jako człowiekowi wybitnie utalentowanemu.

W zamku miał ordynat Potocki zegar, który wskazywał oprócz godzin pory roku, miesiące, znaki zodiaku (wiek 18-ty). Zegar nie chodził. Woził go właściciel do Warszawy, gdzie naprawili, ale nie uruchomili wszystkich części. Ktoś ze służby powiedział o samouku zegarmistrzu z Brzószy. Kazał go wołać i proponował, by zegar obejrzał i osadził, czy go naprawi. „Naprawię.” „Więc przy mnie go rozbierz, jeśli potrafisz na powrót złożyć, dam go do naprawy.” Amator rozebrał zegar i złożył. Po dwóch tygodniach odniósł sprawnie funkcjonujący. „Ile za to chcesz?” Arcytrudne pytanie dla biedaka. „Ile jaśnie pan da.” Trwała trochę długo ceremonia, aż zażądał z wielkim zawstydzeniem 2 sągi drewna. Takich ludzi w okolicy było wielu.

Był rok 1938. Siedziałam w uroczej wiosce Niewistka (koło Dynowa) i malowałam. Wioska po niedawnej komasacji, chaty rozrzucone daleko od doliny Sanu aż po las.

Ze szkoły wracał chłopak, z daleka przyglądał się mojej pracy. Zawołałam go, aby przyszedł bliżej się przypatrzeć. Nigdy w pracy nie przeszkadzały mnie przyglądające się osoby, ani równoczesne „gawędzenie”. Wypytywałam się, do której klasy chodzi, gdzie tato i mama pracują. Michaś chodził do trzeciej klasy. W domu ma ojca i małego brata. Matka zmarła na gruźlicę. Gospodarzą sami. Gotuje i pierze ojciec, przy jego pomocy. Opiekuje się bratem, który jeszcze do szkoły nie chodzi. Wczoraj nasadził kwokę. Podłożył 18 jaj. Pytam się: nie zapomniałeś jaj ugotować, przecież surowe by kwoka rozdeptała? Serdecznie głośno roześmiał się i wyjaśnił, jak kwoka delikatnie siedzi, że z ugotowanych nie byłoby kurcząt.

Tak zaczęła się nasza przyjaźń. Odwiedzałam chatę i zgodził się ojciec oddać do nas Michasia do Lwowa. Było to dziecko wybitnie zdolne.

Nadeszła wojna. Zostaliśmy na tułaczce, a kontakt z Michasiem zerwany. Pomimo nawiązania kontaktu z Niewistką, niczego o losie Michasia nie wiem. Zapomniałam jego nazwisko.

Od wiejskich ludzi nauczyłam się wiele. Nagle spadła katastrofa 1939 roku i początek 17-letniej przerwy mojej pracy twórczej.

Do Łańcuta przyjechałam z Mężem w 1959 r. Mieszkaliśmy kilka miesięcy u przyjaciół, którzy umożliwili nasz przyjazd. Mąż podjął pracę w Rzeszowie, gdzie spotkał dawnych znajomych. Ja zaczęłam malować. W Rzeszowie w 1960 r. pierwszy raz brałam udział w wystawie zbiorowej malarzy amatorów. Nawiązanie kontaktu z malarskim środowiskiem było „Łańcuchowe”. W czasie wykładu z historii sztuki w Muzeum-Zamku poznałam panią jaworską, która ułatwiła mi poznanie z ówczesną dyrektorką Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu (swoją szkolną koleżanką) mgr Anną Jenke. Po obejrzeniu moich prac radziła skontaktować się z mgr Ireną Kłak pracującą wtedy w Wydziale Kultury w Rzeszowie.

Tam dowiedziałam się o organizującej się wystawie malarzy amatorów w Woj. Domu Kultury. Po telefonicznym porozumieniu się, prace znalazły się na wystawie, która miała już katalog na ukończeniu, ale jeszcze zmieściły się moje prace w spisie. Na ilustracje było już za późno. Były tylko akwarele – zdecydowała o tym nasza sytuacja

finansowa. Jako pierwszą nagrodę otrzymałam farby olejne i pędzle. Jedną akwarelę zakupił Woj. Dom Kultury.

Z wdzięcznością wspominam wszystkie panie, które umożliwiły mi pośrednio albo bezpośrednio wejście w środowisko twórcze. Oprócz wymienionych pań w WDK w Rzeszowie panie Krystyna Suss, Łucja Szela, Ewa Hubertowa, które świadczą mi wiele przychylności do dziś.

Do Wydziału Kultury w Rzeszowie zgłosiłam się z gotowością do pracy społecznej w 1961 roku i od tego czasu urządzałam wystawy i w Łańcucie, wiele zawdzięczając kierownikowi panu Micałowi, pani Teresie Pasierb-Ruszel i pani Halinie Kalinowskiej. Do grona tych osób, które umożliwiły mi nabywanie wiary w życzliwość ludzką, zaliczam Panią mgr Czado, kierowniczkę Biblioteki i panie w Bibliotece pracujące.

W 1967 r. ukończyłam kurs przewodnicki i jestem przewodnikiem w Muzeum-Zamku w Łańcucie. Praca ta przysporzyła możliwość spotkania interesujących ludzi, częste przebywanie wśród dzieł sztuki.

Podczas oprowadzania znajduję czas nie tylko na objaśnienia, ale często i na wymianę poglądów, zwłaszcza z dorastającą młodzieżą. Chętnie dzielę się swoją „pogodą ducha” i przeważnie żegnamy się uśmiechnięci.

Zastanawia mnie dlaczego młodzi ludzie tak często mają ponure miny, mimo że młodzi i zdrowi, w obecnych czasach mają przyszłość w swoim ręku. Może to noszenie ciemnych okularów, przez które nie widać cudownych barw poranka ani zmierzchu usypiającego dnia? Tyle kolorów i nastroju różnych pór roku, które mijają niezauważone. W nieuzasadnionym pośpiechu przebiegamy przez życie tak piękne, szybko mijające i często wypełnione nieistotną treścią.

Antonina Jakubiczkowa zmarła w Łańcucie w 1976 (data na grobowcu)
lub w 1979 r. (data z katalogu wystawy z 1981 r.)
Anna Urbańska